

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

MATKA BOSKA I PASTUSZEK.

Ujrzał Ją przez mgły z opalu,
Gdzie ta smuga runiejąca,
Jak pod zorzą szła z koralu,
Przepasana wstęgą słońca.

Szła, w błękitny cichy ranek,
Bosą nóżko w jaskrów złocie,
Po gęstwinie macierzanek,
Przez rumianki i stokrocie.

Spotkał Ją na kwietnym łąku,
Gdzie swe siwe owce pasie,
W gorejącym światłokręgu,
Wnieskalanej czoła krasie.

Poznał Ją po śnieżnym rąbku,
Spromienionym w wiatru locie,
Po dzieciątku Jej, gołąbku,
Po niebieskiej lic tąsknocie.

Upadł przed nią drżący bosy,
Na zielone upadł runie,
I kwiat pełen lśniącej rosy,
Z kornym wdziękiem wznosi ku niej.

Twarz dzieciątka uśmiechnięta
Ustek róże wdzięcznie kloni,
A wyciąga wciąż rączeta,
Wszystkie kwiatki chce mieć z dłoni.

Górą srebrną plynie Ave...
Trzoda dzwoni — droga pusta —
A pustelnik oczy łzawe,
Rozełkane wznosi usta.

Weź — weź kwiecie, Dziecię Boże,
Cała od nich błoń radośna,
Ale w sercach zejść nie może,
Ani kwiecie, ani wiosna.

Ciemno — straszno dokoła,
Małych dziątek słychać lkanie,
Na zapadłym gdzieś kurhanie,
Samobójcze wschodzą ziola.

Płonie ziemia, jak zarzewie,
Wiatr pachnący polem lata,
A tam włonach złość się krzewi,
Żmij wypełza z piersi brata.

Promieniste otwórz rączki!
Weź to kwiecie z pól kobierca.
A rzuć promień z Twojej obrączki,
Jeden promień w ludzkie serca!



Jutrzenka.

Opowiadanie historyczne według powieści

J. Ebersa „Serapis“

przez

Stefana Gębarskiego.

(Ciąg dalszy.)

Cynegiusz, mąż bystro w przyszłość patrzący już powziął postanowienie, miał plan gotowy. Chrześcijaństwo musi zwyciężyć. W niem przyszłość świata. Czas upadku panowania pogańskich bózków nadszedł nieodwołalnie. Nie dawały już one szczęścia ludziom, jeno ich unieszczęśliwiły. Nietylko Cynegiusz, ale przede wszystkim cesarz Teodozy był o tem przekonany. Pragał on od dawna położyć kres pogańskim obrządkom religijnym, jako w wielu razach barbarzyńskim, rozlewem krwi niewinnej zakończanych. Wyciekiwał tylko odpowiedniej chwili. Rozruchy aleksandryjskie zbliżyły koniec panowania Serapisa, Izdyd, Jowisza i setek innych bogów, których czczono w dawnym państwie Cezara i Augusta.

W największej tajemnicy Cynegiusz zmienił niepewnych wodzów załogi miejskiej i zapewnił sobie na każde wezwanie pomoc legionów z pobliskich twierdz nadnilowych.

Pewnego dnia około południa nieprzejrzane tłumy ludu zaległy obszerny plac przed gmachem prefekta, w którym zamieszkał przybyły z Konstantynopola pełnomocnik imperatora.

Miedzy zebranymi widać było przybyłych z głębi Afryki, z nad Czerwonego i Martwego morza i z pieczar nadnilowych zakonników i pustelników. Przybyli oni ujrzeć swego pasterza, biskupa aleksandryjskiego, i pomodlić się w kościele świętego Marka.

Słońce dokuczało, upał się wzmagał. Tłum niecierpliwie oczekiwał na przemówienie Cynegiusza, który miał ukazać się na wspaniale w tym celu przybranym balkonie prefektury.

Zbrojna, licznie roztawiona straż otaczała olbrzymi gmach, plac i pobliskie ulice. Na chęlmach dowódców błyszczały w słońcu złote orły cesarskie.

Nareszcie drzwi od balkonu otwały się i w nich ukazał się Cynegiusz w towarzystwie drugiego dostojnika, niższego od siebie stopniem w hierarchii państwowej.

— Cynegiusz, pełnomocnik cesarski, dzierżący w swych rękach losy całego Wschodu, mógł liczyć około pięćdziesięciu lat. Zamiast welnianej togi, odzieży ulubionej dostojników starożytnego Rzymu, miał na sobie długą suknię jedwabną, usianą złotymi gwiazdami i kwiatami. Suknia ta pod szyją spięta była na złotą klamrę, drogimi kamieniami wysadzaną, która się świeciła jak słońce. Tylko najwyższym dostojnikom państwa dozwolone było podobną klamrę nosić.

Cynegiusz skłonił się ludowi i gdy heroldowie po trzykroć uderzyli w trąby, wskazał ręką na towarzysza swego, który szybko rozwinął pergaminowy zwój opatrzony pieczęcią cesarską.

Trąby odezwały się przeciągle poraz czwarty poczem martwe dokoła zapanowało milczenie.

— W imię imperatora! — wyrzekł głosem donośnym towarzysz Cynegiusza, który powtórnie skłonił się ludowi i ręką wskazał na olbrzymie portrety cesarza i jego małżonki, ustawione po obu stronach balkonu na szczerol złotych piedestałach.

Wtedy towarzyszący mu dostojnik rozwinął pergamin i zaczął czytać:

„Imperator Teodozy przesyła pozdrowienie mieszkańcom Aleksandryi, najwierniejszym sługom swoim, blizkim jego sercu. Imperator wie, że wśród oddanych mu podwładnych wielkiej Aleksandryi, większość wyznaje wiarę Chrystusową, tę, którą i on z całym dworem wyznaje i która rozkrzewić się winna w całym państwie. Tymczasem ze smutkiem dowiedział się cesarz, że niektórzy z pogan aleksandryjskich postanowili z mieczem w rękę zmuszać chrześcijan do oddania hołdu bałwanom z drzewa i kamienia, ręką ludzką utworzonym, jako bogom. Chrześcijanie czczą tylko Wiekuistego Jedyne Boga, który był jest i będzie na wieki. Daremne to wysiłki! D szło także do wiadomości władcy, że w licznych świątyniach pogańskich w Aleksandryi, a przede wszystkim w wielkiej świątyni Serapisa, schodzą się na narady co najzuchwalsi poganie i tam niebezpieczne dla ogółu knują zamiary. Już kilka świątyń chrześcijańskich wskutek ich knowań lud podburzony, w błędach pogańskich wierzeń pograżony, zburzył. Obecą jest imperatorowi Teodozemu chęć zemsty, niechaj panuje zgoda i szczęście wśród jego poddanych. Cierpliwie czekał monarcha, czy poganie sami nie opamiętają się. Tymczasem oni zagrażają porządkowi ogólnemu, chcą rozniecić pożar wojny domowej, najkrwawszej, najokropniejszej, bo bratobójczej. Aby przeszkodzić i raz nazawsze usunąć tak wielkie nieszczęście, cesarz rozkazuje: Niechaj co rychlej w tem wielkiem i sławnem mieście Aleksandryi zostaną pozamykane świątynie pogańskie, a przede wszystkim świątynia Serapisa. Poganie, którzy będą składali na ofiarę bożkom krwawe z ludzi i zwierząt ofiary, którzy będą odprawiali hołdy bałwanom, ludzką ręką zrobionym, ci poganie zostaną skazani na karę i pozbawieni opieki prawa.“

Dostojnik skończył swą odezwę, a lud zebrany radosnymi przyjął ją okrzykami.

Cynegiusz skłonił się, trąby zadzwieczyły przeciągle, potem cofnął się i niebawem zniknął poza drzwiami balkonu, w głębi wspaniałych komnat prefektury.

Rozkaz ten sprawił w mieście wrażenie piorunujące. Lotem błyskawicy przebiegł z ust do

ust, dotarł do najdalszych zakątków, nawet na pokłady okrętów stojących w porcie miejskim.

Kładł on kres panowaniu w Aleksandryi wielkiego Serapisa.

ROZDZIAŁ VII.

Olimpiusz i jego popiecznicy najpierwsi dowiedzieli się o edykcji Teodozego.

Podobnego ciosu nie spodziewali się, uderzył w nich niespodziewanie. Niebawem też dano im znać, że na ulicy zwanej Królewską, ukazał się oddział legionistów, mający wzbraniać przystępu do Serapeum, inny zaś oddział miał poruczone siłą, w razie oporu, opanować świątynię i zburzyć posąg Serapisa.

— Zburzyć posąg Serapisa! — powtórzył Olimpiusz. — Nierozumni i niebaczni, toż znaczy wydać wyrok śmierci na świat cały. Toć wiadomo wszystkim, że z chwilą, kiedy padnie z tronu złotego posąg wielkiego Serapisa, rzeźbiony z kości słoniowej, świat cały runie, słońce zgaśnie, nastąpi straszliwy koniec świata. Nie, do tego dopuścić nie należy!

— Będziemy się bronili, dopóki związane z nami tajemniczą umową legiony [nie nadejdą z pomocą — mówił Olimpiusz, a słowa jego wszyscy przyjęli z uznaniem. Przedewszystkiem trzeba zamknąć i obsadzić zbrojnymi olbrzymią świątynię, potężniejszą od niejednej twierdzy.

Tę ważną czynność poruczone Porfiryszowi który chętnie przyjął tak ważne polecenie. Nie wątpił on jeszcze w powodzenie śmiałych planów Olimpiusza. Niech tylko zbliżą się legiony, wrogo przeciw chrześcijanom usposobione, a wnet postać rzeczy zmieni się na korzyść pogan.

Obszerne podziemia świątyni, z których tajemnym korytarzem można się było dostać do marmurowych pałaców arcykapłana, nieznane były dotychczas nikomu oprócz kapłanów pogańskich. Gdy straż miejskie, z polecenia prefekta obsadziły wejścia do świątyni, prowadzące z sąsiednich ulic, tajemnym korytarzem mógł każdy z wtajemniczonych pogan przybywać do świątyni niepostrzeżenie. Przez zręcznych wysłańców Olimpiusz zawiadomił o tem czcicieli Serapisa.

Wskutek tego legiony, które zwartem kołem oblegały świątynię, ani przypuszczały, że będą miały do walczenia z licznym i dobrze uzbrojonym przeciwnikiem, odbierającym co chwila przez tajemne przejście posiłki z całego miasta i jego okolic.

Niebawem wewnątrz obszernych zabudowań świątyni zebrało się przeszło cztery tysiące balwochwalców, gotowych do uporczywej walki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jakto z lnem było.

(Bajka.)

(Ciąg dalszy.)

Czekał tydzień, czekał dwa, powyrastały lodyżki równiotkie jedna przy drugiej, jak to wojsko wielkie. Już się i pączki pozwijają, już i ku kwitnieniu się ma. A co kto przejdzie, to się dziwuje, że to złoto tak rośnie, jakby jakie zwyczajne ziele. Dworacy kręcą głowami, cości szepcą, cości męczy się radzą. Król patrzy, twarz pogodną zrobił i mówi:

— Nic to! Pewno się w kwitnieniu okaże ono złoto, złotym kwiatem.

Jednego ranka spojrz, aż tu pole jak długie i szerokie niebieszczy się tak, jak to niebo nad ziemią. Kwiatuszek koło kwiatuszka na lodydze sterczy, aż w oczach modro od tego robi, jakby w wodę patrzal.

Zadziwił się król, wesa szarpnął, iż tak złoto ono modro kwitnie, cały dzień frasobliwie po komnatach chodził, wieczery jeść nie mógł i markotny spać się układał. A rankiem uderzył się w czoło i mówi:

— O, ja głupi! Wszakże to nie kwiat, ale nasienie będzie samo złoto! Czegożem się wczoraj frasował?

I poczał dobrej myśli być i ucztę panom swoim sprawił i radowali się wszyscy, że król tak mądrze im to wyłożył o nasieniu owem, co złotem być miało i tak wszyscy cieszyli się spolem.

Przeszło lato, z kwiatuszków owych modrych porosły główeczki, takie okraglaskie. Król idzie w pole, bierze w palce, ogląda i myśli.

— Już też w tych główeczkach napewno złoto jest; tylko patrzeć, jak się to posypie.

Przyniósł jedną, patrzy, aż tu takie samo sienie, tak to, które siał. Rozgniewał się król bardzo, dwór cały zwołał, kazał to zielsko z wielkiej złości z całego pola wyrwać, kijami zbić, że to mu takiego wstydu i zawodu narobiło, i do wody cisnąć. Pacholkiwie rozkazanie królewski wypełnili, lodyżki co [do jednej wyrwali, kijami zbili, aż się ono nieszczęsne ziarno posypało, w peki powiazali i do wody wrzucili. Ale, że to ich samych złość wzięła, więc jeszcze kamieniami w wodę ciskali i tyle tego narzucali, że się one lodygi w pekach zastanowiły, z wodą nie poszły i u brzegu przywalone kamieniami zostały.

Król tymczasem po całym świecie szukać kazał owego kupca, żeby go stracić za ten postępek, że to takiego monarchę poważyl się oszukać.

Tak szukają tego kupca, tak szukają — nie!

Król smutny znów poczał bywać, jako i na początku i nieraz sam bez dworu w zamysłach różnych chodził, trapiąc się, że ludu swego nie mógł zbogacić. Idzie on raz brzegiem rzeki, pa-



trzy, kamieni wielka moc, a z pod nich cości sterczy! Zwołał pacholka, w wodę mu kazal iść i czeka.

Niedługo pacholek wraca i powiada:

— Królu — panie! Tć to jest ono zielsko, co miało złoto rodzić i z pola wyrwane zostało.

A król:

— Jeszcze mi na oczach będzie to podle zielsko leżeć. I mój wstyd przypominać? Weź mi je zaraz, wynieś precz, żebym go więcej nie spotkał.

Ano poszedł pacholek po drugiego, one kamienie odrzucili, pęki lodyg przegniłych z wody wydobyli, wynieśli het pod las, cisnęli i poszli.

A król ciągle się frasował, to tu, to tam jeździł po kraju, a co spojrzy na ten biedny naród, co kosztali na grzbiecie nie ma, to się omal łzami nie zaleje; takie litościwe serce miał.

A no widzą panowie, że król taki smutny, to rada w radę, uradzili, żeby wyprawić wielkie polowanie.

Zjechali się różni książęta, różni panowie, różni dostojni goście, nasprawdzali psów, koni, masztalerzów, psiarków, łuczników, naprzywozili łuków i różnej broni takiej, że to ha! różnych rarców, dojeżdżaczy, sokolników: polowanie takie, że to na całe królestwo sławne. Ucieszył się król tym widekiem, rozweselił, o strapieniu swoim coś nie coś wspomniął, bronie różne czyścić kazal, sfory ogarów sferować, charty na smycze brać, konie kulbaczyć, wozy pod zwierzyne zaprzęgać, aż uderzyli trębacze w rogi łosłowe, psiarnie zaczęły ujadać, bicze ino świstały w powietrzu; tu się sokoly na całe gardło dra, tu pisk, krzyk, wrzawa taka, że to jak na największym jarmarku. Aż usiadł sam król na konia, po bokach mu książęta i wielcy panowie; pojechali.

Jadą, jadą, przyjechali pod las, dziwnia się goście, że taka knieja gęsta, pewno i zwierza pełno, to się ino psy rwa, ino konie parskają, kiedy w tem spojzy król w bok jakoś, a tu na polanie leżą one pęki lodyg, przez pacholków z wody dobyte, wyschłe, wymięrowane, szczer niałe.

Król zapalił się galewem na twarzy, humor mu się od razu przemienił, zawraca konia, przeprasza gości i napowrót na zamek jedzis. Łowczemu przykazał wracać z końmi, wozami i psiarnią, a na pacholki swoje krzyknął:

— Hej tam! zabrać mi to przekłete zielsko i omłócić kijami, żeby aż z niego październie poszły.

I z wielką pasją do domu wracał, a z nim goście jego. A pacholki tymczasem one pęki lodyg porwawszy, zaczęli je kijami okadać tak, że z nich październie leciały. Naleciał tych październie okrutny pokład, a lodygi aż pobielaly, jak z nich to pierwsza surowizna zesła. Potem one lodygi rzucili na rozstaje, na krzyżową drogę.

żeby je słońce paliło, a wiatr po świecie roznosił! Leżały tam, leżały, słońce je paliło, wiatr je popłatał, ale ich roznieść nie mógł, bo za wielka moc tego była.

(Dokończenie nastąpi.)

ZAJĄGZEK.

Już pora miła
Wiosny wschodziła
Młode gałązki
Szyły na zawiązki,
Trawki bujały,
Zajączek mały
Cieszył się wiosną,

Mruczał jednak na trawki, że tak prędko rosna,
Bo dla takiej odmiany
I widzieć nie mógł, i nie był widziany.

Gdy więc trawę deptał, po łące igrając,
Rzekł stary zając:

— Zetną trawę, ty wzrośniesz, i gdy się czas [zmieni,
Na to, co w wiosnie pragniesz, zapłaczesz w je- [sieni.

I. Krasicki.

LAMIGŁOWKI.

I.

Wyrazów 5. Wyraz środkowy i środkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko pisarza starożytnego i poety greckiego.

Znaczenie wyrazów:

- 1) Spółgłoska H.
- 2) Ptak.
- 3)
- 4) Drzewo.
- 5) Spółgłoska R.

Rozwiązanie lamigłówek z nr. 21.

I.

		C							
		C	E	P					
	W	E	L	O	N				
C	E	L	E	B	E	S			
	S	A	B	I	N				
		R	E	R					
		S							

II.

My — śli — wy.